Rozmaitości

Dnia 28. stycznia **Ner. 4.** 1832 roku.

USTĘP Z ŻYCIA KAPITANA B***

(Powieść napisana przez Ignacego Pollaka, niegdyś profesora przy c. k. uniwersytecie lwowskim, wyłożona przez Wacława z Oleska.)

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz odebrałem od kapitana zaprosiny, jak się wyrażał, na mały obiadek. Chętnie je przyjąłem. Muszę się tu przyznać do małej słabości z tą otwartością, jaką dotąd we wszystkiem zachowywałem. Podobne słabości młodych ludzi wszakże względnych znajdą sędziów. Z powodu zaprosin musiałem przywdziać mundur od parady; nic naturalniejszego, jak, że zamyślałem, przed wyjściem na obiad, oddać wizytę gospodarzowi; próżny byłem, cieszyło mię to więc, że tak i ona pierwszy raz mię zobaczy. Zależało mi na tém, ażeby pierwsze wrażenie nie było nieprzyjemne. Cały ranek strawiłem w moim pokoju, układając niektóre książki i papiéry. Wyzierałem czasem do ogrodu, ale nikogo widać nie było. Nareszcie uderzyła jedenasta; ubrałem się spiesznie, przypiąłem szpadę, a wziąwszy kapelusz do rąk nie bez jakiéjś tajemnéj obawy, szedłem przez sieni ku drzwiom, które mi służący mój wskazał. Jużem był przyłożył rękę, ażeby zapukać, atoli — znowu ją podniosłem i poprawiłem włosy na głowie Nareszcie zapukałem Głos męzki dał się słyszéć; był to gospodarz sam, który z zapytaniem: »czy to pan porucznik?« wyszedł naprzeciw mnie, odsunąwszy zasuwkę, którą drzwi zewnątrz były zawarte. Zaczął mię przepraszać, że musiałem nieco czekać; przerwałem, dziękując za tak wygodne umieszczenie w jego domu, dodając ku temu zwykłe komplementa. Usiedliśmy, gdy już tak być musi, ale rozmowa nasza wkrótce się skończyła. Żeby znowu jakim sposobem dyskurs rozpocząć, wziąłem książkę do rąk, która na sofie leżała; lecz na nieszczęście była to księga ustaw kryminalnych, przedmiot nie bardzo pocieszny, a tym mniej przyzwoity do dyskursu przy pierwszéj wizycie. Jużem się zaczął był mieszać, gdy przez drzwi, na pół uchylone, w drugim pokoju postrzegłem fortepian; zapytałem więc, lubo cokolwiek ciszéj, jak dotąd, kto na nim grywa. »Córka moja, odpowiedział,« i — zamilkł. Odetchnąłem, iż się przecież wszczęła rozmowa o córce; prosiłem tedy, czylibym nie mógł być i jéj od razu prezentowany. »Wyszła teraz do ogrodu,« odrzekł, »ale przy obiedzie będziesz ją pan widział. Przeprosiłem, że dzisiaj służyć nie mogę; »a zatem przy wieczerzy,« dodał i znowu zamilkł. Chętnie byłbym go pochwycił za rękę i pociagnął do ogrodu, ale to nie uchodziło; pożegnałem się więc, chcąc udać się do mego kapitana, ale naraz, gdym ledwie wyszedł na podwórze, sam nie wiém zkąd przyszło mi na myśl, że to jeszcze za wcześnie iść na obiad i mimowolnie zwróciłem do mego pokoju, gdzie wkrótce, nie myśląc o niczém, stanąłem przy oknie. Józefina siedziała jak wczoraj na onéj ławeczce; nie czytała wszakże, pilnie tylko ro-

biła pończochę, ciągle mając głowę spuszczoną. Nie było to tak ważne zatrudnienie; nie wiém więc dla czego mu się z wielką uwagą przypatrywałem i musiało to trwać czas dość długi, gdyż nareszcie przestrzegł mię służący, że, jeżeli spiesznie nie pójdę, to zapewne już za późno będzie na obiad.

Zastałem jeszcze jednego gościa; kapitan oprócz mnie zaprosił także burmistrza. Byłato figura otyła, przysadkowata, twarz promienista od szkarłatu wina, a głowa łysa i wyraziście odbijająca się od jego ciemnéj sukni. Z żoną kapitana było nas więc czworo przy stole. Kapitan powtórzył swój wczorajszy żarcik względem Józefiny, a zadowolniony własnym dowcipem, wymówiwszy ostatnie słowo, jak to powiadają do rozpuku śmiać się zaczął. Burmistrz ostro na mnie spojrzał z boku; spostrzegłem to, zapytałem więc z lekka, czyli w tém co osobliwego upatruje. Bez najmniéjszego zmieszania i z zupełnie zimną krwią odpowiedział mi tylko te słowa: »ojciec jest bardzo dobry człowiek.« — Ależ tu nie jest mowa o ojcu,« odparłem. »To prawda,« rzekł daléj, »sądziłem wszakże, iż przy podobnych miłośnych awanturach i dobroć ojca na uwadze mieć należy. Lecz czyli się panu porucznikowi ta panienka podoba?« — »Czy mi się podoba? oczarowała mię; powiadam wćpanu: te piękne oczy, ta twarz anielska, a ten rozum!...« — »Co się ócz tyczé, to jużto i my żonkosie znamy się na tém,« prawił burmistrz zawsze z równą obojętnością, »ale rozum...« — »I cóż rozum?« — »W tém go najwięcéj posiada, że się nigdy z nim nie popisuje.« — »I zapewne,« dodałem, »bo czyżby przystało na panienkę, żeby się ze wszystkiém popisywała.« Żart ten, jeżeli się tak powiedzieć godzi, niezmiernie się podobał kapitanowi; roześmiał się więc, że aż ściany zadrzały. Gdy ta — można powiedzieć — burza nieco się uśmierzyła, burmistrz daléj rzecz prowadził: »Bez żartów mówiąc, nie radziłbym wchodzić w żadne związki, gdyż ta panienka już jest — narzeczoną...« — »Jak to narzeczoną?« zawołałem przerażony, starając się jednak ile możności nie dać tego poznać po sobie. »Jeżeli nie narzeczoną,« odpowiedział, »to przyrzeczoną.« — »To być nie może, komu?« — »Na nieszczęście człowiekowi, któremu nie sprzyja, ale...« — »Wćpan żartujesz,« odrzekłem, »panienka majętna, przytém jedynaczka, cóżby mogło spowodować rodziców mimo jéj woli narzucać jéj męża.« — Nie odpowiedział nic na to, w milczeniu, nie odmieniając w niczém raz przybranéj obojętności, poglądając przed siebie, ale świécące się oczy jego wyraźniéj wystąpiły na szkarłatową przestrzeń, spodnia warga wzniesła się do góry, przezco twarz jego nabrała wyrazu téj pewności, jaka chytrym ludziom jest właściwa. Bez dalszego wyzwania zaczął mówić o narzeczonym Józefiny, opowiadając, jakoby ten z niepojętą dotąd łatwością wyrwał był ojca z bardzo zawikłanych interessów, a przezto z komisarza i pełnomocnika stał się jego przyjacielem i wspólnikiem. Opowiadał daléj, że tenże narzeczony bawi teraz za granicą wielkiémi zajęty szpekulacyjami, które muszą być bardzo korzystne, gdyż, mimo znacznych wydatków w domu, mówią jednak o kupnie dóbr za granicą. »Nié ma więc co wątpić,« dodał kończąc, »że się wkrótce wyniesą do onych dóbr, a tam Józefina, chcąc nie chcąc, będzie musiała oddać rękę temu, do którego połowa dóbr należy.« — Na taki wywód zaczął kapitan czynić różne postrzeżenia dowcipne jakoby, a śmiejąc się przy tém z całéj siły, tak się zakrztusił, że długo nie mógł przyjść do siebie.

Musiałem zebrać całą moję przytomność, ażeby pozorem obojętności pokryć nieukontentowanie, szarpiące duszę moję; nic nié ma bowiem przykrzéjszego, jak kiedy wzaród poczynającéj się czystéj namiętności, zaczną wchodzić żywioły z tak zwanego rzeczywistego świata. Mnie przynajmniéj trapiło w onéj chwili zawstydzające jakieś uczucie, które się opisać nie da. Korzystałem więc z piérwszéj chwili, w któréj bez narażenia przystojności kompaniją opuścić mógłem, ale za żadną cenę nie byłbym natychmiast powrócił do siebie. Czułem potrzebę odetchnienia na wolném powietrzu, i dla tego zupełnie w przeciwną udałem się stronę, ażeby jak najprędziéj wyjść za miasto. Szczęściem trafiłem na bardzo

przyjemne miejsce; nie daleko od miasta nad rzeczułką olszynka, a w olszynce ścieżka wzdłuż rzeczułki. Szedłem raz prędko, raz powoli, nareszcie usiadłem pod starą wierzbą nad wodą, ale miotany niepokojem porwałem się wkrótce i szedłem znowu za ścieżką. Rzeczka zaczęła się zwracać ku miastu; przechodziłem po za ogrody, mniemając, że znowu wyjdę w pole, lecz wraz zastanowiłem się przed furtką do jednego z tych ogrodów, gdyż tam się i ścieżka moja skończyła. Cóż tu było teraz robić? chciałem wejść do ogrodu, lecz furtka była zamknięta; bokiem pójść nie mogłem, gdyż mur ogrodowy przytykał aż do rzeczki; nic mi więc nie pozostało, jak tylko obejść ogród dokoła; nie chciałem bowiem tą samą wracać drogą; za ogrodem zaś spodziewałem się znowu znaleźć i rzeczułkę i olszynę. Zdziwiłem się tędy nie pomału, gdy stanąwszy przed domem, przytykającym do ogrodu, poznałem moje pomieszkanie, właśnie gdym myślał, że, Bóg wie, jak daleko od niego się znajduję. Chąc więc i nie chcąc poszedłem do siebie, zamknąłem paradny mój mundur do walizy i, nie przystąpiwszy nawet do okna, rzuciłem się tak, jak byłem, na łóżko. — Bez myśli, bez czucia, leżałem może z pół godziny, gdy naraz z przyległych po prawej ręce pokoi dał się słyszeć fortepian. Nie mogłem rozróżnić dokładnie wszystkich tonów, lecz właśnie w tém było coś szczególnie czarownego; zdawało się wszakże, jak gdyby te tony w ścianie zaklęte były. Wyrażały się najprzód pojedyńczo, z jakąś niepewnością, z jakąś bojaźnią; daléj coraz więcéj razem się rozwijało, aż wreszcie — ukryta tęsknota stała się wymownym żalem. Po chwili dały się słyszéć akordy, jak gdyby łagodzące, jak gdyby uśmierzające ból serca dotkliwy, nakoniec cicha, spokojna wesołość i rzetelna i rzeźwa nad wszystkiem przemogła. — Mimowolnie przechodziłem przez te wszystkie uczucia. Dawno już był umilkł fortepian, jeszcze pierwiastkowe tema brzmiało w mych uszach i nie wiem, cobym był dał za to, gdyby przegranie onegoż było się raz jeszcze zaczęło.

Porwałem się nareszcie i przystąpiłem do okna. Józefina już była w ogrodzie. Zajęta swojémi kwiatami opatrywała właśnie czysty kwiat narcysa, mając nieco nachyloną głowę, tak jednakże, iż mogłem niemal całą jéj twarz widzieć. W żadnéj postawie nie mogła się korzystniéj wydawać, i poźniéj, gdyśmy się już bardzo często widywali, nigdy nie zdawała mi się przyjemniejszą, jak gdy w cichém zamyśleniu spuściła nieco oczy ku ziemi.

Po chwili nadszedł ojciec, ażeby mię nawzajem odwiédzić. Bez dalszego przygotowania zacząłem chwalić jego ogród, wyrażając tak usilnie moje życzenie jak najprędszego obznajomienia się z nim, iż mu nic innego nie pozostało, jak mię natychmiast zaprosić. Udaliśmy się tedy do ogrodu. Jakże mi serce drżało, gdym ujrzał zblizka te kwiaty, z którémi zdaleka już dość dobrze się znałem! Józefina wyszła przeciw nam. Zmieszałem się na widok jéj pięknéj postaci, jakby on młodzieniec występujący na świat po raz pierwszy, a chcąc jéj coś bardzo obowiązującego powiedzieć, zaciąłem się i ledwie kilka słów niezrozumiałych przebąknąć byłem w stanie. Nawet głos mój nigdy mi się tak nieprzyjemnym nie wydawał, jak wtedy. Przez kilka minut śmiało na mnie poglądała, potém zaś, spuściwszy oczy ku ziemi, mówiąc nawet ze mną, nie spojrzała na mnie. Ośmieliłem się cokolwiek, zacząłem jéj opowiadać o cudach mojéj zaklętéj ściany, ale ojciec przerwał tę rozmowę nalegając na mnie, ażebym cały ogród z nim obejrzał. — Przy wieczerzy widzieliśmy się znowu, lecz — osobliwsza, unikała widocznie spotkać się z mojém spojrzeniem. Dopiéro po oddaleniu się, gdym już był w moim pokoju, zdawało mi się, jakoby chciała rozmawiać ze mną; poczęła bowiem grać tę samę sztukę, o któréj mówiłem, a która mię tyle zajmowała, lecz tak cicho przebrzmiewały tony, jak gdyby nie śmiały otwarcie wystąpić. Ten też tylko był jedyny dowód jéj grzeczności, i w dniach następujących graniem witała mię każdego poranku, graniem żegnała się ze mną każdego wieczora. W przytomności ojca niewymownie była ostrożną, i jak uważałem, musiało to być skutkiem wyraźnego rozkazu; ale uwaga jéj, z którą

przysłuchiwała się najmniejszym wypadkom mojego życia, była oznaką udziału, jaki nie mógł pochodzić z saméj tylko ciekawości, albo ze zwykłego upodobania w podobnych powieściach. Muszę się bowiem przyznać po prostu, że lubiąc cokolwiek dużo mówić, zaraz w piérwszych dniach opowiadałem wiele o sobie, a osobliwie o mojéj wojennéj wyprawie, rozwodząc się széroko nad wszelkiemi szczegółami. Łatwo mogłem dostrzec, w jakiéj była obawie, gdym opowiadał o owém zdobyciu bateryi; nareszcie oddychać prawie nie mogła, gdy przyszło nadmienić, jak owa kula, blizko mnie przelatująca, naraziła piersi moje.

Podobne odkrycia niewymownie mię cieszyły; z tym większym więc zapałem opowiadałem różne wypadki mojego życia, lubo ojciec zwykle na końcu bardzo ostre i zbijające czynił uwagi. Wyobrażenie jego o życiu zupełnie się różniło od mego; w innych zupełnie barwach świat mu się wydawał; z goryczą więc wyrażał się o wszystkiém, cokolwiek miało wpływ na działania w powszechności, czego z łagodnym jego sposobem myślenia pogodzić nie mogłem. Z tego jedynie powodu i poźniej obecność jego przykro na mnie działała. Z resztą zupełnie byłem szczęśliwy; oddychając w blizkości Józefiny, widziałem rozpostarte pogodne niebo nad sobą, ale bo też i prawda, że ta luba dziewczyna we wszystkiém mię rozumiała, we wszystkiém zgadywała, we wszystkiém uprzedzała najdrobniéjsze moje chęci. Gdy czasem ostrość i gorycz ojca w zły humor chciały mię wprowadzić, umiała zawsze zapobiédz temu, uciekając się do swego fortepianu, wiedziała bowiem, że gdy zagra którą z ulubionych moich melodyj, wesołość znowu na mém zajaśnieje czole.

Tak żyliśmy kilka tygodni w jednym domu, przy jednym jadali stole, nie mogąc się jednak zapewnić o tem, co się widocznie w naszych sercach działo. Mówiłem z nią codziennie, uważałem ją codziennie w ogrodzie, lubo o tèm nie wiedziała, ale do dalszego zbliżenia się nie było żadnej sposobności. Unikała choćby na chwilę pozostać ze mną sam na sam; nieśmiałe jéj spojrzenie wszakże za każdém zejściem się z sobą, dowodziło jasno, iżby nie była od tego, żebyśmy się dokładniéj porozumieli.

Zapomniałem powiedzieć, iż był zwyczaj zaprowadzony w domu, że Józefina każdego wieczora czytywała ojcu książki, jakich właśnie można było dostać Z początku przysłuchiwałem się tylko temu czytaniu, gdy zaś Józefina, czytając nieco za prędko, rzadko była w stanie dłużéj nad godzinę wytrzymać, przyszło więc do tego, że ją wyręczać musiałem, a tak rozwiązanie zaczętej powieści, ostatnie sceny dramatów, zwykle na mnie do czytania przypadały. Czy to w saméj rzeczy z większym przyciskiem czytałem miejsca pospolicie ku końcowi z większą namiętnością wyrażone, czyli też te miejsca same przez się takowy udział wzbudzały, słowem, córka i ojciec zgodzili się na to, że nieporównanie czytam, a ostatni prosił mię nawet jednego wieczora, żebym mu jego ulubioną przeczytał książkę. Byłato historyja jakiegoś urzędnika, który przez różne nieszczęścia przynaglonym został targnąć się na powierzone mu dochody skarbowe, a nakoniec dopuścił się zabójstwa Nie znane mi było to dziełko; czytałem je więc z uwagą, a im bardziéj smutny ten wypadek zaczął mię zajmować, tym więcéj, nie wiedząc sam o tém, zapałem się w czytaniu. Wrażenie nakoniec tak było wielkie, iż ledwie mogłem utaić łzy, które się z przemocą z ócz mych dobywały. W takiém poruszeniu głos mój zwolniał, zacząłem się mieszać; nie chcąc jednak dać tego poznać po sobie, nachyliłem głowę ku książce i tak czytałem blizko aż do końca. Gdym przyszedł na to miéjsce, jak ów nieszczęśliwy starzec z rozmyślną i spokojną odwagą szedł na śmierć, jak tylko czasem nagarnąwszy swoje długie siwe włosy na przód, przyglądał się im z widoczną boleścią, a nakoniec z niechęcią z twarzy je rozgartywał, ojciec Józefiny chwycił mię za rękę, a zawoławszy: »dosyć już, dosyć, dziękuję panu porucznikowi,« zerwał się, postąpił ku źwierciadłu i niebawem zwolna wyszedł z pokoju. Zajęty dotąd sobą samym i wydarzeniem, które czytałem, teraz dopiéro spojrzałem na Józefinę. Jakżem się zdziwił, gdym postrzegł

w jéj twarzy rozrzewnienie, któregobym wyrazić nie zdołał; spokojna wszelako jak anioł, prosto patrząc przed siebie, rzekła do mnie: »Czyliby też nie można do tego doprowadzić, ażeby własne cierpienia tak łagodnie na nas działały, jak obce, które z książek poznajemy?« — »Byłobyto prawdziwém szczęściem,« odrzekłem, »ale potrzebaby na to być więcéj jak człowiekiem.« — »Zdaje mi się,« odpowiedziała po chwili, »że gdyby nasz anioł-stróż duszę naszę zatrzymał chwilkę na stronie i własne jéj opowiedział życie, natenczas własne dolegliwości wydawałyby nam się jak obce i równie łagodnie na nasby działały.« Rozczulony tym prostym wyrazem jéj duszy, zacząłem się w nię wpatrywać; postrzegła to, powstała więc i poszła do fortepianu; mimowolnie poszedłem za nią. Zaczęła grać tę samę fantazyją, która już piérwszego dnia mojego pobytu w tym domu, tak błogiém uczuciem mię napełniła. Nic nie było prosciéjszego nad tę fantazyją; toż samo tema wiło się przez różne spadki, jakby przez jaki labirynt; spiéw zawsze był ten sam prawie, a jednak niepojętym urokiem duszę zachwycał. Luba jakaś tęsknota panowała nad umysłem; ku końcowi dopiéro zaczynały tony z miękkich zamieniać się na twardsze, i tym jedynie sposobem, ten sam spiéw tak żałosny wprzódy, najżywszą wyrażał wesołość. Wszystko zdawało się wyjaśnione; żal został uspokojony, w ostatnich tylko taktach, jak gdyby dawne spominając dzieje, odezwał się raz jeszcze ów głos żałośliwy, a cichem *movendo* gra się kończyła. — Przestała grać; palce jéj spoczywały jeszcze na klawiszach ostatniego akordu: Wyborne dzieło,« zawołałem, »dnie i nocy mógłbym trawić, przysłuchując się pani.« — »Jak się panu podoba?« odrzekła, »jestto historyja życia mego. Będziesz się pan śmiał może, ale muszę się przyznać, że ile razy gram tę fantazyją, wydaje mi się, jak gdyby mi kto opowiadał historyją życia mojego.« — »I jakże pani daleko jesteś w swojém życiu? czy tutaj?« powiedziałem, wskazując na takty, które właśnie najżywszą wyrażały wesołość. Nic nie odpowiedziała, zapłonienie tylko całéj twarzy było oznaką jéj poruszenia. Ująłem jéj rękę, dotąd na klawiszach spoczywającą, a wpatrując się w nię z prawdziwém rozrzewnieniem wyrzekłem zcicha nieśmiało: »Luba, anielska istoto!« przy tém pozwoliłem sobie drzącą jéj rękę przycisnąć do rozpalonych ust moich. Nie rzekła ani słowa, nie spojrzała nawet na mnie, a w tém i ojciec wrócił do pokoju. Podnieśliśmy się z pospiechem i odskoczyli od siebie pomieszani, tak, że Bóg wié coby sobie mógł był myśleć, gdyby był zupełną na nas zwrócił uwagę. Lecz on sam najwięcéj sobą był zajęty i tak uroczyście wyglądał, jak gdyby dopiéro powrócił z kościoła. W krótce się oddaliłem, wszelako pożno dopiéro po północy udałem się na spoczynek. Czułem jakąś ulgę, jakąś nieznaną dotąd błogość w całéj mojéj istocie. »Moją jest,« powtarzałem sobie raz za razem, przyciskając moje własne ręce do łona, jak gdybym już ją samę w mojém trzymał objęciu. Przystąpiwszy ku oknu długo wpatrywałem się w ten ogród gdzie ją piérwszy raz ujrzałem, długo błądziłem okiem po nad ciemne drzew wierzchołki, nad któremi mleczna droga jasném rozciągnęła się pasmem; zdawało mi się, iż mi się niebo na wieki otworzyło.

Słyszałem o jakiéjś roślinie, która głęboko zapuściwszy w grunt morza korzenie, w najpiękniéjszéj porze długą wystrzéla na przestwór łodygą, ażeby kwiat swój ku słońcu wychylić. Dziwiłbym się, gdyby jeszcze żaden poeta nie użył tego obrazu na porównanie miłości. Ja przynajmniéj wydawałem się sam sobie, jak owa roślina. Każde odetchnienie moje było nabożeństwem. Dlaczegoż dni poczynającéj się miłości nie są ostatniémi życia naszego? nigdy zapewne, jak wtedy, świętszymi nie jesteśmy.

Na dzień następny umówiona była od dawna przejażdżka na odpust o cztery mile od domu. Zbudzono mię wcześnie i, mimo chłodny poranek, w lekkim powozie udaliśmy się w drogę. Siedzieliśmy wszystko troje razem; Józefina między mną i ojcem Bliskość téj lubéj i tyle mi drogiéj istoty tak przyjemnie na mnie działała, żem się ledwie mógł przezwyciężyć, ażeby, z lekka ująwszy jéj rękę, nie przycisnąć jéj do siebie.

Zajechawszy na miejsce, wysiedliśmy pod górą, na której stał kościoł. Natłok ludu był tak wielki, iż niepodobna było przecisnąć się do kościoła; podczas nabożeństwa staliśmy tedy pod kościołem, a obejrzawszy potém cały bazar woskowych ofiar i świętych obrazów, gdy jeszcze nie było południa, uczyniłem wniosek, ażebyśmy się udali na sam wiérzch góry, dla korzystania z pięknego widoku na kraj okoliczny. Józefina chętnie na to przystała, a ojciec łatwo dał się namówić, gdyż cała góra lasem była zarosła, mogliśmy więc iść cieniem, a przytém przyrzekliśmy iść jak najpowoléj. — Ku wiérzchołkowi las zaczął rzednieć; wolny był widok na wszystkie strony; jednakże nie tak przyjemny, jak sobie obiecywałem. Słońce stało wysoko; cała więc okolica była prawie bez cieni; odległéjsze zaś położenia mgła gęsta pokryła. Po starym wietrznym młynie poznaliśmy wszelako wzgórze, przy którém nasze miasteczko leżało, a nareszcie natężone źrenice odkryły i zakres onegoż. Ojciec oddalił się od nas na kilka kroków; korzystałem z téj chwili i wyrzekłem tak, że mię słyszéć mogła, z uniesieniem: »Czyliż byłbym się spodziewał, gdym po raz piérwszy ujrzał z gościńca owe murzyska, iż tam właśnie spotka mię najważniéjsze zdarzenie życia mojego!« — Wszystko nadaremne; jak gdyby mię nie słyszała zwróciła mowę do ojca, który zaczął napominać do powrotu. W milczeniu więc, nito zupełnie obce sobie osoby, szliśmy obok siebie i już straciłem był nadzieję, ażebyśmy dnia tego znowu mogli się przybliżyć. Aleć mrok nocy, a przytém śmiałość kochającego i kochanego młodzieńca, przezwyciężyły trwożliwą jéj skromność. Zapoźniliśmy się nieco i już się miało ku zachodowi, gdyśmy z powrotem wsiedli do powozu. Piękny wieczór na wszystkich uroczo działał; Józefina osobliwie z prawdziwą pobożnością przyglądała się gwiazdzie wieczornéj, ktora, z coraz więcéj bledniejącéj zorzy, coraz wyraźniéj występowała. Po chwili zaczęły się pokazywać i inne gwiazdy, których z początku ledwie dojrzéć można było, aż nareszcie cała ozdoba nocy ciemne tło nieba pokryła. Ucichło w powozie; ojciec tylko kiedy niekiedy przemówił słowo; ale skąpémi zbywany odpowiedziami, gdy właśnie po miękkiéj drodze powóz gładko się toczył, umilkł i usnął nakoniec. W tak sposobnéj chwili niepodobna było oprzéć się pokusie; ostrożnie tedy opasawszy Józefinę mojém ramieniem, zwolna przycisnąłem ją do siebie. Cierpliwie uległa téj mojéj śmiałości, a gdym rozpaloną twarz moję przybliżył do jéj twarzy, opuszczoną głowę oparła na méj piersi, lecz w tym momencie i płomienne usta moje spotkały się z jéj ustami. Lekkie, bardzo lekkie — lecz przecież uczułem i jéj pocałowanie i tym serdeczniéj przyciskałem ją do siebie. Mówić nie mogłem, ale głośne bicie mego serca i oddech znaglony poświadczały jéj dowodnie o méj szczęśliwości. Nie postrzegłem, że powóz stanął, aż gdy z objęcia mego się porwała, a w tém i ojciec się podniósł, ażeby wysiąść z powozu. Byliśmy w domu, gdym właśnie myślał, żeśmy nie ujechali i połowy drogi. —

(Dokończenie nastąp.)

CZAS POZWANY.

| — ᴗ — ᴗ |

Stół ogromny pośród sali,
Na nim dzwonek, księgi, świece;
Kołkiem siedzą rajcy w *gali*,
I sam burmistrz zdjął szlafmicę.
To przypadek niesłychany,
Cała rada głową kiwa;
Nawet woźny, zawsze piany,
Dziś tabaki nie zażywa.

Cóż się dzieje o bogowie!
Strach przenika, drzy natura;
Coś wielkiego rodzi góra,
Mysz? dyjament?... któżto powie?...

Czas, co wichrzy morzem, lądem,
Czas, ten warjat, hultaj wielki:
Ma być stawion dziś przed sądem.
Burmistrz znalazł sposób w głowie,
Bez uwagi na wzgląd wszelki,
Zamknąć zbrodnia do butelki.
Na tę karę świat się zgodzi,
Komuż tego żal psotnika;
Ale jeszcze o czop chodzi,
Bo któż palcem czas zatyka?

Może w takim rzeczy składzie,
Komu z boku ta myśl zajdzie:
Gdy się wyrok znalazł w radzie,
Tam się pewnie i czop znajdzie?
Łatwo przystać na to zdanie,
Lecz *pozwany*, czyliż stanie?

Chrapie woźny, gasną świece,
Burmistrz siedzi, mnie szlafmicę,
Rada ziewa, czasu czeka,
A tymczasem czas ucieka.

I miłując figle skryte,
Mimo palów, mimo chrustów;
Zrywa stawy, bez upustów,
Znosi groble, wiekiem bite!
Aż tu rozum — patron w sprawie,
Wszedł do sali, siadł na ławie,
I rzekł skromnie, bez hałasu:
»Że czas teraz nie ma czasu,
»Bo jest bardzo z każdej strony,
»I w tył i w przód zatrudniony;
»Ale gdy tu raz zawinie,
»Sąd i sala z nim popłynie!«

Tak rzekł rozum, nie wierzyli.
Wyszedł napis na tablicy:
»Że wyrokiem c z a s stracili,
»Że nie ujdzie szubinicy.«

J. N. K.

PRĄDY POWIETRZA W STREFACH GÓRNYCH.

Pan Forster chcąc zrobić postrzeżenia nad górnémi obłokami, postanowił odbyć podróż powietrzną. Jakoż 30. kwietnia p. r. wsiadł w balon z panem Green i o godzinie pół do 6téj po południu opuścił ziemię w Moulsham przy Chelmsford. Czas był spokojny i pogodny, barometr wskazywał 29° 29' (angielskich), termometr Fahr. 63°, wiatr wschodni niestały wiał z lekka. Balon wysoki stop 48, széroki 32, wzniósł się, obracając się z lekka, na stop 1000 prawie, pędzony wschodnim wiatrem. W kilka minut chyżość jego zaczęła się zmniéjszać. Pan Forster postrzegł, iż się prąd powietrza zmienił, i balon został uniesionym w kierunku prawie zupełnie przeciwnym piérwszemu, podnosić się jednak nie przestawał. Na wysokości 4,000 stóp prawie, nowy prąd powietrza popchnął go od połud.-zachod. do połud.-wschod. i wkrótce balon przestał się podnosić. Pan Green zrzucił cokolwiek ciężaru; a balon wzleciał chyżo po linii spiralnéj nieregularnéj, ale tak słabéj, że zaledwo można było czuć obrót. Nareszcie balon zawisł zupełnie nieruchomy o 6,000 stóp, i tak został przez kwadrans. Pan Forster opisuje uczucie, którego doświadczył przez ten przeciąg czasu, jako pełne rozkoszy. Kołysany zlekka w strefie zupełnie spokojnéj i cichéj, wśród chmur przezroczystych, obejmował wzrokiem obszerne panorama wklęsłe, które mu kraj, morze i mieszkania ludzkie przedstawiały. Powietrzni podróżni zażyli w tym krótkim czasie spokojności takiéj, jaką rzadko można napotkać na ziemi wśród hałasu i zabiegów światowych. Powtórnie zrzucili część ciężaru i balon wzniósł się na nowo, aléć pan Forster uczuł nieprzyjemne naciskanie na bębenki uszu, otworzył więc kurek i spuścił się na ziemię o godzinie 6téj minucie 20. Pan Forster zrobił następne postrzeżenie podczas swéj powietrznéj *wędrówki*: 1) Balon równie w czasie podnoszenia się jak i spadania ulegał sam ruchowi wirowemu w kierunku obrotów dziennych ziemi i planet, to jest od prawéj do lewéj, jednak ten obrót dział się tak wolno, że go czuć nie można było; lecz tylko poglądając na przedmioty ziemskie można go było rozeznać. 2) Wiatry w takiém następstwie, w jakiem je spotkał przy podnoszeniu się, panowały na ziemi nazajutrz. I tak wiatr południowo-zachodni, który spotkał najprzód, wiał nazajutrz rano. Z tych przeto i z innych licznych doświadczeń pan Forster wnosi, że wszystkie prądy powietrza górnego ulegają podobnemu prawu, to jest: że się ukazują na ziemi w porządku swego coraz wyższego położenia. 3) Obłoki górne zajmują wysokość, do któréj balony dosięgać nie mogą, i przy największém ich wyniesieniu się obłoki te wydają się tyle odległe od chmur zwyczajnych, ile te ostatnie wznoszą się nad ziemię.

BAL W St. JAGO W CHILI.

Damy w stolicy chilijskiéj są bardzo przyjemne, żywe aż do rozpusty, pięknie i rozkosznie zbudowane, a przy tém ładnie tańczą. Z tego powodu bywają tam codzień prawie wielkie i małe bale. Do tańcu udają się damy w jedwabnych, całkiem zapinanych mantyllach. Proszący damę do tańcu pada przed nią na kolano, rozpina mantyllę, zdejmuje ją i daje do schowania razem z szalem piersi jéj okrywającym. Poczém zaczyna się taniec w lekkim, łudzącym stroju. Po skończonym tańcu mężczyzna ma prawo w szal i w mantyllę ubiérać swoję tancerkę, co zaraz czynią obawiając się przeziębienia. Rzadkie są tam powozy, przeto po skończonym tańcu wszyscy idą pieszo do domu. Muzyka postępuje naprzód; każdego gościa odprowadzają z osobna. Powietrze jest czyste, ciepłe i wesołe, niebo gwiazdami okryte, przyjemne wonie kwiatów balsamiczne wyziewają tchnienia, a muzyka, podobne towarzystwa poprzedzająca, z kilku ulic słyszéć się daje. Jeźli towarzystwa się zdybią, chór podwójny w jedno się ciało połącza. Dopiéro z dnia nadéjściem rozchodzą się wesołe karawany.

W królewskiéj bibliotece w Neapolu znajduje się wiele rzadkich, a między témi nie mało osobliwością swoją wyszczególniających się rękopismów. Dziejopisarz polski znalazłby tam nie jedno pomocne i wiarygodne źródło, i tak n. p. do panowaniu Zygmunta III. następujący rękopism: „Alexandra Cilli opowiadanie wydarzeń, które w Polszcze za Zygmunta III. w ciągu lat trzech po sobie nastąpiły. Pisane w Krakowie r. 1609." — W rękopismie pod tytułem: „Bohatérskie zdania z r. 1680," znajdują się następujące myśli: „Są ludzie, którzy wszystko umieją, do wszystkiego użyć się dają; monarchowie powinni tylko jedno umiéć: rządzić. — Gdyby królowie znali obowiązki swoje, niktby nie chciał być królem. — Złemu człowiekowi być winnym wdzięczność, jest wielkiém nieszczęściem. — Nim ludzie to jedno słówko n i e w i é m wymówią, powiedzą raczéj tysiąc głupstw i niedorzeczności. — Najszczęśliwsze życie byłoby nieszczęściem, gdyby się nie kończyło." — Jest rękopism wiérszem łacińskim papieża Eneasza Sylwijusza: *Epigrammata de amoribus Pamphyli* — również papieża. — Największa jednak osobliwością téj biblioteki jest w rękopismie sztuka drammatyczna przez kardynała Ruspigliosi, pod tytułem: S w i ę t y B o n i f a c y. Działają w niéj osoby następujące: Walczący kościoł; tryumfujący kościoł; Aglaja; Bonifacy; rotmistrz od dragonów; anioł-stróż; djabeł; Lucynda; chór i żołniérze.

Największym dziwakiem literackim jest pewien właściciel dóbr w Danii. Posiada on jednę z najobfitszych bibliotek. Dzieła wszystkich czasów i języków złożone są u niego w pięknych szafach. Przepych i bogactwo biblioteki téj każdego obcego podziwem napełnia. Biblioteka ta jednak tylko żądzy świetnienia istnienie swoje winna, ale wnet ułuda znika, gdy się kto o treści książek chce zawiadomić. Są to książki z drzewa, w skórę oprawne i tylko na wierzchu mają tytuły złotemi literami wypisane.

Pewien chyrurg wiéjski, którego umiejętność składała się z kilku pięknie oprawnych książek, czytał w gazecie zapowiedziane dzieło, pod tytułem: „Operacyje Rossyjan i Turków w ostatniéj wyprawie" W oczekiwaniu, iż w dziele tém znajdzie wiele ciekawych operacyj chyrurgicznych, kupił je, ale jakże się zawiódł, gdy wyczytał tylko historyją wyprawy, a nie znalazł żadnych przepisów o amputacyi, o gojeniu lub wyrzynaniu ran.

Gazeta w języku tureckim wychodząca w Konstantynopolu (piérwsze pismo tego rodzaju w tém mieście), ma tytuł: *Takwimi Wekaii*, to jest: tablica zdarzeń. Redaktorem dziennika tego jest historyjograf państwa, Es-seid Mohammed Esaad efendy, autor historyi: „Zniesienie janczarów," wydanéj przed cztérma laty, pod tytułem: „Posada zwycięztwa." Dziennik ten także poezyje umieszcza.

La Condamine, który, jak wiadomo, był przy owym wielkim rozmiarze stopni w Peru, i w powrocie zbłądziwszy, żył lat kilka po między dzikimi Ameryki południowéj, opowiada o Jamasach nad rzeką Amazonek, że są najograniczeńszym narodem, jaki znajduje się na ziemi, a między innémi i to także przywodzi, że tylko do trzech liczyć umieją, liczbę wyrażając długiém słowem: Poctarrarorinkurruki.

Ze zdania sprawy, udzielonego kongresowi Stanów Zjednoczonych okazuje się, że od roku 1793 wydano tam patenty na sześć tysięcy wynalazków. Sam pług tylko doświadczył 124 popraw, wynaleziono 119 machin do młócenia. Ośmiorakim sposobem robią masło, praczki mają 123 gatunków machin, gwoździarze 122 machin; nowych machin do przędzenia liczą 100; nowych popraw warsztatu tkackiego 73; wynalazków do lepszego robienia kapeluszów 73; więcéj jak sto nowych machin parowych; tyleż pieców. Mają 41 nowych rodzajów robienia grzebieni. Wynaleziono cztéry nowe machiny do strugania jabłek, a trzy nowe rożny. Rozmaite nazwy mają te wynalazki, jak n. p. Siła psa; elewator garnków i kociołków; bagmalaktophorus i t. d.

Karol VI. dawał podczas karnawału w Paryżu maskaradę, na któréj wszystkie osoby za satyrów i t. d. przebrane były, a wiele z tych było połączonych łańcuchami. Książę Orleański, który z pochodnią wszedł, przez nieostrożność zapalił kudłate ich suknie, przy czém wiele ze zgromadzonych i sam król ledwo z trudnością wielką ocalony został.

Gdy Le Notre, twórca przepysznych ogrodów w Wersalu, Ludwikowi XIV. plan onychże przekładał, wołał tenże w uniesieniu co chwila: „Brawo! za myśl tę każ sobie wćp. 10,000 liwrów wypłacić." Gdy król słowa te często powtarzał, rzekł dotkliwy artysta, chowając plany swoje: „Będę milczał, bym w. król. mości nie zrujnował."

Znany komik wiédeński w teatrze na Wiédeniu, Wenzel Scholz, zabawnym sposobem w Gazecie Teatralnéj Wiédeńskiéj ogłosił uwiadomienie o swoim benefisie. Najprzód zbija rozszérzone wieści, jakoby go apoplexyja tknęła i między innémi ten powód przywodzi, iż to żadną miarą stać się nie mogło, bo nawet przed benefisem nie miałby czasu być apoplexyją tkniety. Po benefisie mógłby go łatwiéj podobny przypadek spotkać, a to z uniesienia, gdy znajdzie udział w publiczności i licznem uraduje się zgromadzeniem. „Gdyby jednak," kończy dziwne to uwiadomienie swoje, „śmiano utrzymywać jeszcze, iż niżéj podpisany nie jest już więcéj przy życiu, ponieważ nie wszystko jest prawdą, co kto o sobie mówi, prosi za tém, ażeby każdy, wątpiący o życiu jego, przekonał się o tém na jego benefisie, a im więcéj zbierze się wątpliwych, tym bardziéj uradowany będzie."

O teraźniejszych fizyczno-medycynalnych zdaniach zawiera pewne uczone pismo Niemiec północnych trafne uwagi wyszczególniającego się w psychicznym względzie autora, profesora Heinroth: Tak wewnętrzne oko (dusza) jak i zewnętrzne ma swoje optyczne mamidła, a takiémi jest owa dawno wkorzeniona wiara w ten przesąd, iż dusza nie mając w sobie cielesności, nie choruje. I owszem choruje dusza, a jak choroby ciała powstają przez rozprzężenie ustaw organicznych życia, tak choroby duszy przez nadwerężenie jéj ustaw żywotnych, których prawdziwem źródłem jest wolność. Piérwsze tworząc błędy w dyjecie, staje się często zarodem febry gastrycznej, drugie umysłowego rozdźwięku.

Palenie tytoniu wszędzie się pomnożyło. W Anglii przed dziesięcią laty palono za 60,000 — teraz palą za 130,000 funt sztrl. Przed dziesięcią laty palono we Francyi za 4 mil. 800,000 frank., dziś palą za 17 mil.; w Hiszpanii przed owym czasem palono za 37,000 talarów hiszp., dziś palą za milijon. W Niemczech stosunek ten podwoił się, w Austryi potroił nawet.

MODY PARYZKIE.

Jednym z najpiękniejszych wynalazków paryzkiego fabrykanta kwiatów pana Cartier jest róża, na któréj naśladuje lekkie i błyszczące krople rosy. Przy świetle wyglądają jak brylanty na listkach róży. Kwiat taki, zatknięty w piękne ubranie włosów, wygląda nader powabnie i w greckich, tudzież innych fryzurach, widocznie na boku się przypina. Znajdują się oraz u pa. Cartier szronem pokryte czyli lodowate pióra *(plumes frimatées)*, których postać samo nazwisko okazuje. Są pogięte i zdają się być mchem osypane, przypominającym szron zimowy. — Ozdoby sukień, równie jak fryzur, zawsze prawie składają się z kwiatów, piór i t. d. i tylko zajmującém przypięciem wyszczególniać się mogą. — Tegoroczne suknie balowe nie mają żadnych garnirunków, tylko szczególniejsze ozdoby koło kolan, pasa i ramion. — Najmodniejsze ubranie nóg damskich składa się z białych, gładkich, jedwabnych pończoch, tak delikatnych i przeźroczystych, jak gaza. Pod nie biorą się cieliste pończochy z wełny kaszemirskiéj.

Mężczyzni do rannego ubrania noszą czapeczki z kawałków rozmaitego koloru, wyglądające jak owe mandarynów chińskich. — Do gali należy lorynetka przez frak na złotym łańcuszku przewieszona. — W Paryżu noszą surduty bez kieszeń zwane antysymonistycznémi. Jest to żart ze znanego towarzystwa ś. Symonistów, które utrzymuje, że bogaci powinni dawać ubogim, gdyż ci inaczej kieszenie ich opadną. Ażeby więc przed czasem ochronić kieszenie bogatych od téj jałmużny *par force*, dowcipni krawcy paryzcy wynaleźli te surduty bez kieszeń.

Sprostowanie: W przeszłym num. Rozm. na str. 22. w 1széj przedziałce, w wierszu 38; po wyrazach: bardziej miał, dodać: „obawiać."

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.